



Pismo

MAGAZYN OPINII

SIERPIEŃ 2023 | NR 8 (68)

WOKÓŁ KSIĄŻEK

**Podróżować czy nie
- oto jest pytanie**

ESEJ

**Turcja po wyborach:
Erdoğan trzyma się mocno**

REPORTAŻ

**Kalifornia:
gdy płonie raj**

LITERATURA

**Anne Weber
Rebecca Makkai**

CENA: 18,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

0.8 >



772544 502302



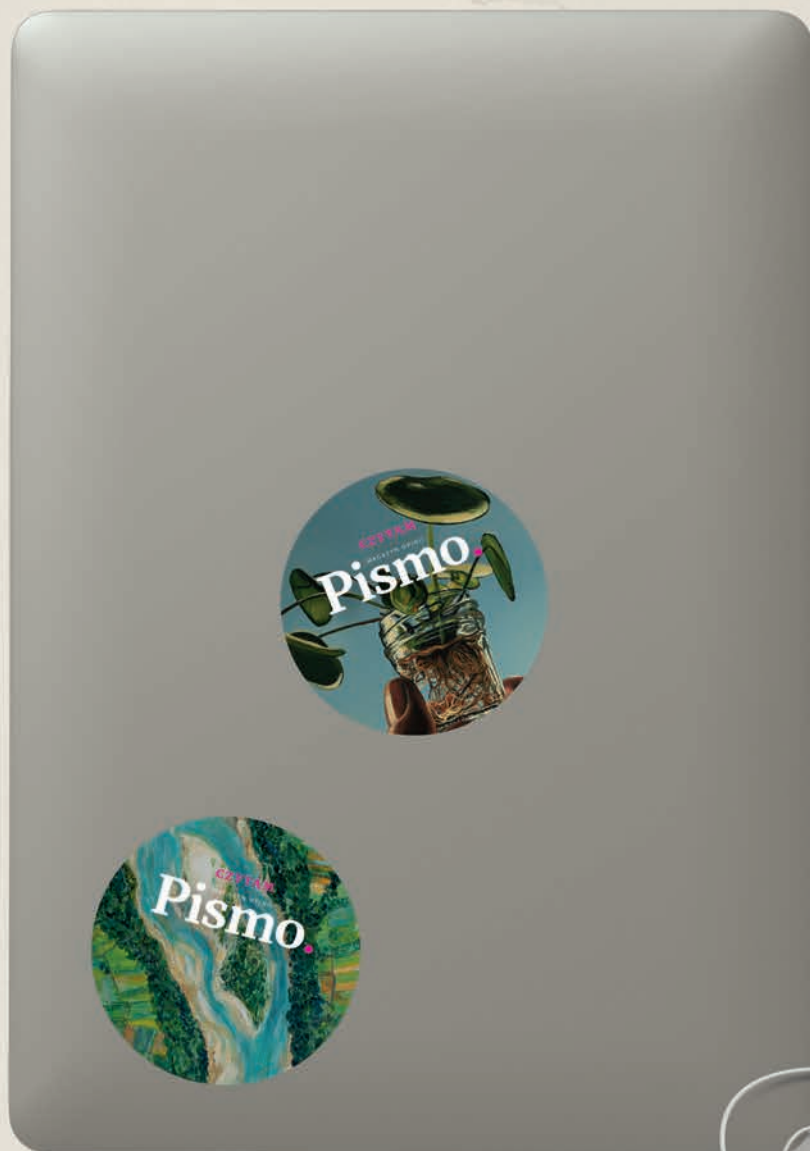
MAGAZYN OPINII

Pismo

Kup książkę

**Czytaj i słuchaj
w niższej cenie na zawsze.**

MAGAZYN OPINII
Pismo.



Zamów miesięczny dostęp online, a otrzymasz:

- możliwość korzystania z wygodnej aplikacji mobilnej,
- dostęp do wszystkich treści w serwisie bez reklam,
- magazyn w wersji na czytniki (pliki: PDF, ePUB i MOBI),
- wydanie audio czytane przez profesjonalnych lektorów i lektorki,
- dostęp do wszystkich sezonów Śledztwa Pisma,
- dostęp do pełnego cyfrowego archiwum miesięcznika,
- dodatkowe treści udostępniane tylko online,
- możliwość dzielenia się treściami z osobami, które nie mają dostępu do „Pisma”,
- newslettery „Zachwyty”, „Wybór zagraniczny” i „Powody do radości”,
- ilustracje okładkowe do pobrania w wersji do druku (PDF bez tytułów),
- możliwość uczestniczenia w spotkaniach z cyklu Premiera Pisma,
- zaproszenie do zamkniętej społeczności na Facebooku.

Wejdź na magazynpismo.pl/kup i skorzystaj z wakacyjnej promocji*.

* Oferta ważna do 31.08.2023 r. Cena promocyjna obowiązuje przy zachowaniu ciągłości subskrypcji.

„Pismo. Magazyn opinii” to wyjątkowy projekt medialny realizowany *pro publico bono* przez Fundację Pismo. Decydując się na zakup, wspierasz wydawanie naszego magazynu.

Kup książkę

11,99 zł miesięcznie

7,99 zł



magazynpismo.pl/kup

MAGAZYN OPINII Pismo.

SIERPIEŃ 2023

PROZA

Annette, epopeja heroiczna | 6
ANNE WEBER

Mam do pana kilka pytań | 90
REBECCA MAKKAJ

POEZJA

Łyżwy. 8 stycznia. Niedziela. 2023. | 3
MAŁGORZATA SOKORSKA

Tak dużo, tak obco | 35
MAGDA LIS

Do mięsożerców | 71
MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA

OBRAZ

W KADRZE | 4
ANDREAS GEHRKE

FOTOREPORTAŻ **Do Europy tak, ale tylko umarłym** | 44
MACIEJ MOSKWA

KOMIKS **Wyjeżdżam** | 66
LESZEK KASSIJAN-WICHEREK, TOMEK KONTNY

W RAMACH PISMA **Matiere Premiere** | 80
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA o ADJI DIEYE

ŻARTY RYSUNKOWE
JAREK KOZŁOWSKI

OKŁADKA **Raj utracony**
PAWEŁ PATYK

FELIETON

2 | ROZMOWY Z K. **Jak wyhodować pomidora**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytanie czytelniczki

96 | **À propos (nie)odpowiedzialnej turystyki**
ZUZANNA KOWALCZYK

APTECZKA

95 | **Co w niej trzyma...**
JAKUB SKRZYWANIEK, pyta MATEUSZ ROESLER

REPORTAŻ

14 | **Dwa stopnie do piekła**
JULIA LACHOWICZ-NOWIŃSKA z Kalifornii: katastrofa klimatyczna już tam jest

36 | **Znikający raj**
MARIA HAWRANEK, SZYMON OPRYSZEK o turystyce, która zabiera nasz świat

ESEJ

24 | **Przedziwne stulecie**
MARCELINA SZUMER-BRYSZ tłumaczy, dlaczego w Turcji szybko nic się nie zmienia

54 | **Problem rynku jednego zwycięzcy**
KAMIL FEJFER analizuje postulat równości efektów

82 | **Co widać z wiaduktu**
KRYSZYNA DĄBROWSKA zwiedza Nowy Jork po śladach Edwarda Hoppera

HISTORIA OSOBISTA

62 | **Deokupacja przyszłości**
WIKTORIA AMELINA o nadziei, że wróci świat, który w Ukrainie istniał przed wojną

WOKÓŁ KSIĄŻEK

72 | **Cieżba**
URSZULA JABŁOŃSKA pyta, czy da się podróżować odpowiedzialnie

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wysznińska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, **Kultura i sekretarzowanie redakcji:** Katarzyna Kazmierowska,
Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, **Idee:** Karolina Lewestam, **Ekonomia i Technologie:** Zuzanna Kowalczyk,
Redakcja: Urszula Kifer, Magdalena Salik, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, **Korekta:** Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Wydanie cyfrowe i audio: Barbara Sowa, Ewa Pluta, Iga Gromska, Karolina Wasiczek
Projekt makiety: Jacek Utko, **Redaktorka Artystyczna:** Karolina Mazurkiewicz, **Skład i łamanie:** Marta Juchnowicz-Bierbasz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wysznińska, **Marketing:** Mateusz Roesler, **Promocja:** Ewa Salamon,
E-commerce: Anna Ostrowska, **Prenumerata i subskrypcja:** Marcin Lipiec, **Fundraising:** Inez Jaworska

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Kup książkę



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979),
dziennikarka i redaktorka. Obroniła
doktorat z filozofii na Uniwersytecie
Bostońskim. Wielokrotnie
nominowana do nagrody Grand Press.
Członkini redakcji „Pisma”.

Droga K.

Jestem studentką dziennikarstwa i dopiero niedawno zaczęłam czytać „Pismo” (dzięki zakończonej sesji zyskałam więcej wolności). Bardzo spodobała mi się pani porada/felieton z kwietniowego wydania, więc stwierdziłam, że do pani napiszę.

Bardzo chciałabym w przyszłości pracować jako dziennikarka, chciałabym zarabiać na siebie, pisząc. Obawiam się tylko, że brakuje mi własnego głosu, pewności w swoich opiniach i poglądach. Nie wiem, czy wynika to z mojego wieku, braku doświadczenia i wiedzy, czy po prostu z braku umiejętności. Mam też wrażenie, że wielcy w moim wieku już coś osiągnęli...

Co pani na ten temat myśli?

Pozdrawiam
Studentka

Droga Studentko!

Przytoczę ci najpierw Ludwiga Wittgensteina z *Dociekań filozoficznych*, który z kolei cytuje Augustyna z *Wyznań*, a ów przytaczany Augustyn mówi mniej więcej tak: „Jak nauczyłem się języka? Ano tak: jako berbecz patrzyłem, na co wskazują dorośli, kiedy mówią jakieś słowo. A potem już znałem znaczenie tego słowa i nosiłem je w głowie”.

Wittgenstein czyta Augustyna i myśli (też mniej więcej): „Hej, czy to naprawdę tak działa? Powiedzmy, że nauczono mnie słowa «pomidor». A teraz stoję na straganie warzywnym i słyszę: «pomidor». To nie oznacza, że tam jest pomidor, to wezwanie do czynności: «Daj mi pani tego pomidora». A czasem «pomidor» to gra w pomidora i zamiast sprzedawać pomidory, trzeba po prostu ciągle mówić «pomidor». A kiedy *sommelier* smakuje wino i szepcze «pomidor», znaczy to tyle, że w trunku jest nuta warzywna”. I tak dalej, i tak dalej; tyle pomidorów, ile poplątanych gier językowych. Gdyby Augustyna wpuścić między te wszystkie pomidory, toby się nie połapał, bo znaczenie nie rodzi się, kiedy pokazują ci przedmiot; znaczenie rodzi się w rozmowie, tworzy się w życiu, uciera się w grze.

Miałam kiedyś tak jak ty. Moje słowa wydawały mi się puste, nie były zakorzenione w dyskursywnej grze, nie nauczyły się siebie, obracając się wśród ludzi. Nie obrosły wtedy jeszcze głębią znaczeń, były emblematami rzeczy; nie żyły. Kiedy wpuszczałam je między słowa innych, które ciągnęły za sobą niuanse i pewności, wychodziła z nich pustka i nieadekwatność, wręcz prosiły się o demaskację; w rozmowie o czerwieni roślin były jak wycięty z kartonu pomidor. I bałam się, że ja nie umiem tchnąć w ten karton życia; że nie mam w sobie tej mocy, która daje słowom sens.

A jednak udało mi się z czasem czuć, że mogę coś wyrazić; że mam do tego prawo i że moje słowa nie zawsze są puste. Co chcę powiedzieć? Że pewność twoich słów nie przyjdzie któregoś dnia do ciebie znienacka, jak jakiś covid czy archanioł Gabriel; że nie nauczysz się być w swoich słowach przez prosty sposób Augustyna. Żeby naprawdę ożyły, musisz je wypróbować, musisz poddawać je nowym testom; musisz je zdobywać i uczyć się ich wciąż na nowo; masz grać w grę pisarską tak długo, aż pewnego dnia i ty, i twoje słowa poczujecie się w niej mocno i pewnie. Będziecie rośli razem, ty i twoje słowa, a może pewnego dnia one wyfruną z ciebie i będziesz patrzeć, jak lecą, i będziesz z nich bardzo dumna.

Jest pewnie prostszy sposób, żeby to powiedzieć, a wygląda on tak: pisz dużo. Więcej jeszcze czytaj. A najwięcej rozmawiaj; to w rozmowie słowa dostają twarz. I nie bój się o opinie; nie miej jeszcze opinii, chrząć opinie, opinii mamy i tak zbyt wiele, każdy dzisiaj ma jakąś. Świat byłby lepszy, gdyby obciąć dopuszczalną liczbę ludzkich opinii o co najmniej siedemdziesiąt procent. A ty chcesz być dziennikarką, prawda? Nie publicystką, która przybywa oznajmić swoje Wielkie i Wspaniałe Opinie. Dziennikarka nie peroruje; dziennikarka słucha, widzi, dotyka; a potem dopiero pisze – nie po to, żeby obwieszczać siebie, ale żeby oddać rzeczy sprawiedliwość. Nie wiem, czy umiesz już w słowa, ale na pewno masz w sobie właśnie tyle pokory, ile trzeba, by dobrze przetrenować swe słowa, zanim wyrzuci się je w świat.

A skończyć mogę tylko w jeden sposób: pomidor.

Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyzk@magazynpismo.pl

Kup książkę

POEZJA

Łyżwy. 8 stycznia. Niedziela. 2023. Trudno uwierzyć.

MAŁGORZATA SOKORSKA

—

Zobacz, powiedziałam Marcie, kiedy schodziłyśmy na łyżwach po schodach pokrytych gumą do przejścia w stronę szatni. Minęło wiele lat. Znowu możemy chodzić na łyżwy. Byłyśmy tutaj razem ostatni raz w podstawówce. Co było pomiędzy. Trudno sobie przypomnieć.

Te same ławki w szatni. Wiernie czekały. Lód. Biały lód. I moje nowe białe łyżwy. Za pożyczone od Marty pieniądze. Mówiła, żebym nie pożyczła łyżew. Namówiła mnie na najdroższe z futerkiem na górze.

Liczę lata. Ponad czterdzieści. Trudno uwierzyć. Zdejmuję buty. Zastanawiam się. Co robiłam przez ten czas.

MAŁGORZATA
SOKORSKA

(ur. 1966), ukończyła studia na Wydziale Prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Przez dziesięć lat współpracowała z agencją reklamową BBDO, od dwudziestu prowadzi rodzinną firmę. Jej debiutancki tekst ukazał się w „Kwartalniku Artystycznym” w 2019 roku. Autorka książki poetyckiej *Upadł buk* (wyd. Austeria).

Kup książkę





W KADRZE

ANDREAS GEHRKE | *Flughafen Berlin-Tegel* | 2020

Tablica odlotów na słynnym lotnisku Berlin-Tegel na krótko przed jego ostatecznym zamknięciem w listopadzie 2020 roku. Od momentu powstania portu w latach 70. XX wieku lotnisko było pionierską koncepcją, w której priorytyzowano krótkie odległości lotów, co sprawdziło się przez cały okres jego użytkowania. Tegel zamknięto w związku z otwarciem Międzynarodowego Portu Lotniczego Berlin-Brandenburgia.

selected by

**EUROPEAN
IMAGES**



Projekt EUROPEAN IMAGES realizowany przez n-ost, Kajet, Ramina Mazura i Pismo.

[Kup książkę](#)

Annette, epopeja heroiczna

tekst ANNE WEBER

przetłoczyła DOROTA STROIŃSKA

—
Anne Beaumanoir to jedno z jej imion.
Istnieje naprawdę, nie tylko na tych
stronach, lecz także w Dieulefit, czyli
Bóg-to-uczynił, na południu Francji.
Nie wierzy w Boga, ale On w nią wierzy.
Jeśli Bóg istnieje, to On ją uczynił.

Jest sędziwą staruszką, ale, jak chce opowiedzieć,
zarazem nie urodziła się jeszcze. Dziś,
w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat, na
tej białej kartce papieru przychodzi na świat
– w głąb nieprzeniknionej próżni, w którą
wpaduje się długo krążkami krecich oczek, aż pustkę
powoli zapełnią kształty i barwy,
ojciec matka niebo woda ziemia.
Niebo i ziemia to trwałe zjawiska,
woda natomiast przyplywa i odpływa, wartki
prąd niesie ją do suchego koryta rzeki Arguenon, gdzie
dwa razy na dobę podnosi łodzie, całymi godzinami
leżące na boku. Dwa razy na dobę odpływa
do morza, w miejscu nazywanym tu
kanałem La Manche, krótko: rękaw, mimo że
ani to kanał, ani rękaw, na pewno
nic wydrążonego, raczej ramię:
ramię morskie, które Atlantyk wyciąga
ku Morzu Północnemu. Łodzie łagodnie
przewracają się z boku na brzuch.

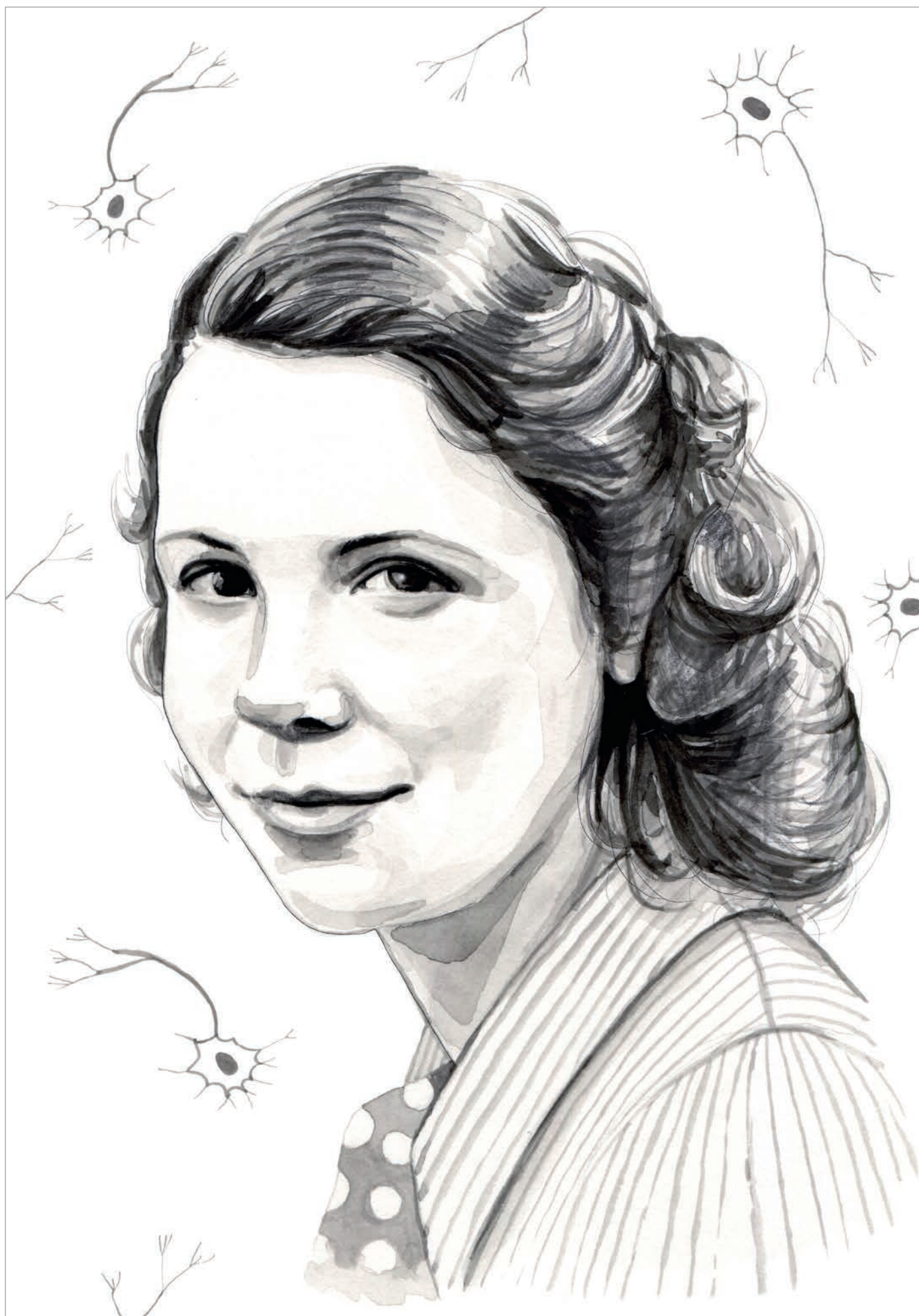
We wszechświecie niezamieszkanego jeszcze pokoju
płyną cztery jaśniejące gwiazdy czy też oczy, czasem
jest ich nawet sześć. Z nicości, niczym w ciemni fotograficznej

wyłaniają się powoli kontury, wokół gwiazd
zarysowują się twarze. Matka. Babcia.
Ojciec. Dziecko o imieniu Anne, na które wszyscy
wołają Annette (wymawiaj: Anet), wprawia te
planety w ruch obrotowy.

Wiekem Anne (dzisiejsza) jest oddalona
po dwakroć od Annette, ma tyle lat, ile wtedy
jej babcia, ale gdzieś
zdumiewająco daleko, a zarazem blisko
to dziecko istnieje nadal. Tworzy z nią jedno,
nie zmarniało i nie umarło, śpi,
wciąż tu jest.

Annette urodziła się w ślepej uliczce,
nie tylko w przenośnym znaczeniu,
jak my wszyscy. Dom babci stoi ostatni
w szeregu nieotynkowanych domków rybackich,
który raptownie kończy się przed rzeką.
Każdy domek ma przestronne pomieszczenie na dole,
a pod dachem dwie izby, po prawej i po lewej.

„Dom babci” wcale nie oznacza, że
jest jej. Babka mieszka tam na komornym.
Kwaterna jest licha i odpowiednio
mało wynosi czynsz, lecz nawet i ten niewielki grosz
to już zbyt dużo dla niej, wcześniej owdowiałej, co
chcąc utrzymać swoje dzieci, trudni się *pêche à pied*,
czyli wędkarstwem na piechotę:
dzień w dzień w czasie odpływu wyrusza w drogę,
by niestrudzenie wygrzebywać z mokrego piachu wszelakie



żyjątką morskie – sercówki raczyńce
 małże dywanowe trąbiki – i taszczyć je w koszu na plecach
 do pobliskich wiosek, i tam sprzedawać: w Saint-Éniguet,
 La Ville Gicquel, Le Tertre, Notre-Dame-du-Guildo
 czy Le Bouillon.

Matka jej matki urodziła się w Bretanii w XIX wieku,
 a więc poniekąd dwa stulecia wcześniej,
 w wielodzietnej rodzinie chłopów bez jakiegokolwiek
 dobytku, którzy nie mogąc wykarmić swoich dzieci, oddają je
 jedno po drugim na służbę u bogatszych gospodarzy.
 Mała dziewczka od krów jest ubożuchna. Przez długi czas
 nie nosi – co za szok potem dla jej kilkuletniej wnuczki! –
 majtek. Bo ich nie ma. Śpi na słomie. Para nowych sabotów
 to jej roczna zapłata, a co dwa lata peleryna
 z parą pończoch lub spódnica z kaftanem, co
 nie jest żadnym luksusem choćby dlatego, że nadal
 jeszcze rośnie. Do szkoły nie chodzi. *Illettré*
 mówią na takich jak ona, co nie są
 biegli w czytaniu ani w piśmie. W wieku pięćdziesięciu
 lat uświadamia sobie po raz pierwszy –
 Annette ma wtedy jakieś siedem lat – że jej własna
 matka nigdy jej nie pocałowała, i wtedy ta, która dotąd
 nigdy się nie żaliła, wybucha płaczem. Tak
 sobie więc siedzą, babcia i wnuczka,
 i całują się, całują, całują bez końca
 i płaczą. O swoim ojcu wie jedynie to,
 że był gburem. Ani słowem nie wspomina
 o swoim rodzeństwie, o parobkach i dziewczkach jak ona sama,
 może już umarli, a może zaginęli bez wieści
 lub mieszkają gdzieś w pobliżu. Annette
 ponad wszystko kocha swoją babunię, która
 jest bogata, ale nie w dobra doczesne, i mądra,
 ale nie dzięki książkom.

Jak każdy z nas Annette ma
 również drugą babcię. Tę kocha mniej.
 Matka jej ojca nosi nazwisko Beaumanoir,
 co znaczy „piękny dwór”, i rzeczywiście,
 należy do tej lepszej rodziny w miejscowości, gdzie
 tak naprawdę nie istnieje wyższa sfera.
 Madame Beaumanoir, również owdowiała, jest
 córką notariusza. W najwcześniejszych latach
 Annette nie zobaczy swojej babci numer dwa
 ani razu. Więzy łączące matkę i syna zostaną bowiem
 zerwane w dniu, w którym zabroniła mu ona poślubić
 dziewczynę z rybackiego domu – jedną z córek babci numer
 jeden, co Madame Beaumanoir przysparza zapewne
 cierpień, ale cóż na to poradzić?
 Wszystko w niej burzy się przeciw
 nierównemu związkowi, z którego też zaraz,
 ku jej ubolewaniu, rodzi się
 jakaś Annette. Swojego syna uważa

za kogoś lepszego i tu ma rację,
 on jest kimś lepszym, bo rezygnuje
 z jej szacownego towarzystwa oraz ze spadku,
 a wybiera ukochaną. W tym czasie
 oboje są jeszcze prawie dziećmi, niepełnoletni
 według przepisów prawa, stąd bez zgody rodziców
 niezdolni do zawarcia ślubu, tak więc Annette zupełnie
 jak w jakiejś – bretońskiej – bajce rodzi się w nędznym
 domku rybackim babci numer jeden,
 poza związkiem małżeńskim, ale nie poza więzami miłości,
 i na razie nie zostaje wpisana do księgi urodzin.

Ma szczęśliwych rodziców, chciałoby się
 powiedzieć, ale czy to prawda i
 czy to w ogóle możliwe?
 Czyż nie mówi się zawsze, że szczęścia
 można zaznać najwyżej przez chwilę? Oni
 są jednak szczęśliwi cały czas, a jeśli
 ktoś ma dowody na to, że jest inaczej,
 niech temu zaprzeczy, teraz ma okazję.
 Szczęście nadaje ton jej codziennemu
 życiu. Przeniknięta od początku tą prawie niesłyszalną,
 emanującą ciepłem muzyką, obdarzona jasnymi
 oczami i nieustraszoną sercem swoich rodziców: oto Annette.

Rodzice nie tylko są, jak się to mówi,
 szczęśliwi, lecz na dodatek stanowią
 parę przeciwieństw. Jean jest wysoki, a
 Petite Marthe niska, on zrównoważony i spokojny,
 ona jak iskra żywa i rozgadana, ale też
 rozsądna, poza tym ma dar opowiadania i słucha się jej
 z otwartymi ustami. On lubi mówić na nią
 „moja sufrażystka”, ma tu na myśli nie tyle
 jej feministyczne poglądy, ile jej skłonność do napadów
 furii i wrzenia gniewem wobec niesprawiedliwości; ona sama
 w swoim żargonie powiedziałaaby, że jest: *soupe au lait*, czyli
 mleczną zupą, w każdym razie taką, która
 szybko wrze i kipi. Nauczyła się wszystkiego sama, no,
 „wszystkiego” to może nie, ale nauczyła się jednak bardzo dużo:
 przyjemności czytania, gry w ping-ponga, tylko nie ma
 szczęścia do prowadzenia samochodu, bo ma na to
 zbyt burzliwy temperament.

Nic dziwnego, można by teraz pomyśleć, że mając tak
 dobre warunki, córka stała się taka, jaka jest, a co na
 skrzydełkach książki ledwo daje się streścić, już choćby
 dlatego, że ten ogrom trudów czynów podejmowanych
 przez dziesiątki lat wykracza poza każdą okładkę.
 Gdyby rzeczywiście było tak, że naszą przyszłość określają same
 tylko warunki, to pozbylibyśmy się wszelkiej odpowiedzialności,
 wszelkiego poczucia winy, wszelkiego sumienia. Ale
 nie jest to takie proste. Najważniejsze zadanie
 jeszcze przed nami – i trzeba je wykonać.

Tymczasem Annette skończy pięć lat, tak, niedługo ma urodziny, ale czy ich dożyje? Z dzisiejszej perspektywy to nedoręczne pytanie, jednak wówczas odpowiedź bynajmniej nie jest jasna. Dziewczynka bowiem poważnie choruje i leży bez przytomności, a gdy się później obudzi, pierwszą rzeczą, którą zobaczy natychmiast, będzie rower, prezent urodzinowy. Wielki Kryzys uszedł uwadze rodziców, oni mieli swoją własną Wielką Depresję, siedzieli przy łóżku jedynej córki, nie modlili się wprawdzie, ale z rozpaczliwą skrupulatnością stosowali się do zaleceń lekarza, który sam tak naprawdę nie wierzył, że dziecko można jeszcze uratować. Zapalenie opon mózgowych. – Najgorsze minęło. Annette odzyskuje zmysły, co nie dzieje się jak za naciśnięciem guziczka, ale jest powolnym procesem, skoro jeszcze dziewięćdziesiąt lat później pamięta, że najpierw odezwały się mięśnie skóra stawy ścięgna i jelita, i dopiero gdy także uszy wróciły na swoje miejsce, usłyszy głosy swoich rodziców. Przy łóżu rekonwalescentki odbywa się spotkanie na szczycie z udziałem obu babć. Madame Beaumanoir spotyka La Mère Brunet, jak we wsi nazywają babcię numer jeden. *Enchantées*, tak, nadzwyczaj oczarowane są one obie, przede wszystkim jednak ozdrowieniem tej małej. Rodzice Annette tymczasem są pełnoletni i po ślubie. Córka nosi teraz nazwisko ojca oraz udobruchanej tymczasem babci numer dwa. W papierach ma napisane Raymonde Marcelle Anne Beaumanoir. Rybacki domek opuściła już dawno, z rodzicami i Mémère przeprowadziła się na drugą stronę żelaznego mostu na rzece Arguenon, czyli Pont du Guildo, przy którego budowie pracował przybyły tu za chlebem mąż Mémère, kowal, jednak pięć lat i troje dzieci później już nie żył (suchoty). Nowy dom, co znów jest tylko domkiem, stoi na drugim brzegu, naprzeciw domu, w którym się urodziła. Po rzece, która dzieli oba domy – w czasie przypływu szeroka i rwąca – pozostają tylko dwie strużki, gdy wody znów opadają.

O, popatrz, szczęśliwe domy, mógłby sobie zapewne pomyśleć ktoś, kto stałby dziś na moście i spoglądał na oba domki po prawej i po lewej. W sieni tego drugiego, między drzwiami wejściowymi a tymi od sypialni rodziców, służącymi za bramki, rodzina przed

kolacją gra w piłkę nożną, póki nie padnie dziesiąty gol. Potem zapasy, jak to się zdarza w szczęśliwych domach, gdzie przepychanki są oznaką – no szczęścia, ma się rozumieć.

Gdy jest zabawa i muzyka gra u podnóża mostu, Mémère i Annette tańczą polkę przy otwartym oknie w kuchni. Jean, ojciec Annette, jest socjalistą, ale ksiądz – katolicki, jesteśmy w Bretanii – a więc *monsieur le curé* przychodzi nieraz na kolację, co nie jest niczym zaskakującym, jeśli się pamięta, że natychmiast po objęciu parafii proboszcz wprowadził jednakową świeczkę dla wszystkich, to znaczy jednakową wielkość świec. Dotychczas było tak, że do pierwszej komunii – w zależności od tego, jak bogaci byli rodzice – jedne dzieci niosły przed sobą świeczkę wielkości paluszka, a inne – jak na przykład mały Dibonnet – taszczyły rodzaj świeczkowego słupa. Ojciec jest w dobrych stosunkach z księdzem i nie chce przysporzyć mu zmartwień, posyła zatem Annette do pierwszej komunii (matka, Marthe, nie jest tym zbytnio zachwycona, ale księdza lubi również), co owocuje dwoma tygodniami „wybuchowej mistyki” (słowa Annette), z pewnością nie jest to nic, ale tyle co nic na przestrzeni niemal stulecia. Przedtem i potem: zero. Tak samo jak w powieści Alexandra Dumasa w miejscowości mieszkają niebiescy i biali, a więc republikanie i rojalści, przy czym ci ostatni niekoniecznie są stronnikami króla, to raczej tradycjonałści i katolicy. Natomiast niebiescy wciąż są republikanami, zwolennikami laicyzmu również, co oznacza, że chcą rozdziału Kościoła od siebie oczywiście, ale przede wszystkim od państwa, i jeśli się da, żeby Kościół w ogóle nie miał nic do powiedzenia. W Bretanii jest to jeszcze pobożne czy raczej niepobożne życzenie. W Le Guildo mieści się szkoła dla dziewcząt, katolicka, chodzi tu większość dzieci, nawet córki kilku bogatych chłopów i dzierżawców książęcych włości, gdyż jest tu też jeden książę, a do tego jeszcze zamek. W drugiej szkole, państwowej, spotykają się biedne i najbiedniejsze córki marynarzy *au long cours*, czyli pływających na statkach /dalekomorskich,

poławiających u wybrzeży Nowej Fundlandii w dużych ilościach
/dorsze,
które po kilkumiesięcznej wyprawie przywożą do domu
jako sztokfisz, a więc zasolone ryby. Wśród uczennic
są również córki rybaków trudniących się połowem
/przybrzeżnym oraz
dwoje, troje dzieci chłopskich, w sumie trzydzieści dziewcząt,
a więc jedna klasa, na więcej nie stać *école laïque*.

Annette uczy się tam czytać i pisać i
ledwo to sobie jako tako przyswoiła, a już udziela
lekcji Mémère, która rzeczywiście
nie umie ani jednego, ani drugiego.
Jaskinia pod kołdrą Annette dobrze
nadaje się na szkolną salę. Potrwa kilka
miesięcy, zanim obie nauczą się czytania, a dokładnie:
odczytywania. Przy pomocy Annette Mémère
napisze pamiątne zdanie: „Dziś ugotowałam
zupę z ziemniaków i porów
z ogrodu”. Z trudem, ale zawsze
przeczyta swojemu zięciowi objaśnienie
znaczenia wyrazu w słowniku. Jakiego wyrazu? –
To już niestety nie zachowało się w pamięci.
Proszę! Widać gołym okiem: pod kołdrą
słowo oświecenie ma jeszcze sens.

Ćwierć wieku później babunia leży
na łożu śmierci. Annette siedzi przy niej, i
żeby znieść ból rozstania, trzyma się
książki, którą właśnie czyta,
to znaczy właściwie nie czyta, tylko
ma przy sobie. To powieść Arthura Koestlera
Darkness at Noon, *Ciemność w południe*,
przetłumaczona na niemiecki
pod tytułem *Sonnenfinsternis*, co
znaczy „zaćmienie Słońca”. Na okładce
francuskiego wydania jest napisane *Le zéro*
et l'infini, zero i nieskończoność.
Trzy różne tytuły zatem, każdemu z nich ten
pokój śmierci nadaje nowe znaczenie.
Umierająca sięga swoją wychudzoną
ręką po książkę, ogląda ją
bardzo długo, po czym wskazuje – z ledwo
widocznym uśmiechem na wargach – swoim sękatym
małym palcem na literę z w *zéro*, i bardzo cicho,
ciut filuternie mówi:
– Tej tu nie mogłam sobie przypomnieć.
Cisza.

Ale wróćmy do początku, bo życie
Annette dopiero się zaczyna. Już w 1929 roku
zostaje, jak wspomnieliśmy, posiadaczką roweru,
czym niewątpliwie nie każda pięciolatka może

się poszczycić, zwłaszcza jeśli, tak jak Annette,
nie ma szczególnie bogatych rodziców, ale
też nie każde dziecko w jej wieku jest
córką mistrza w kolarstwie,
no dobrze, mistrza to za dużo powiedziane,
ale na pewno sportowca, który
wziął udział w Tour de France, i to już
na początku lat dwudziestych, zanim urodziła się
Annette. Przy Quai du Guildo, nieco poniżej
domu przy moście, otworzył później
sklep z kołami do rowerów i nie tylko –
CYCLES ET PETITES MACHINES AGRICOLES
– jak głosi szyld. Potem ma jedyny, ależ nie,
jeden z dwóch automobili we wsi,
jednak używa go głównie po to, by
wozić tu i tam coraz to innych sąsiadów:
w Le Guildo dotychczas był wielki deficyt
gratisowych taksówek. Kawałek dalej przy
tym samym *quai* stoją trzy furgony, w których
zimną mieszka rodzina cyrkowców, dawniej
nazywanych Cyganami, po francusku *romanichels*, a którym
Jean również za darmo reperuje monocykl i inne sprzęty
wymagające naprawy. Annette chętnie się bawi z ich córką –
jedną z ich córek – choć nie można Mémère wybić pomysłu z
głowy, że ta mała ma wszy. Nawet gdyby papież twierdził
inaczej, to by mu nie uwierzyła, a przecież tylko
ona jedna w rodzinie w ogóle mu jeszcze wierzy. Stara się
jak może, by dziewczynki nie stykały się głowami. Daremne
/wysiłki.

Wyczesuje więc potem małej włosy
delikatnie gęstym grzebieniem,
po czym rozpieszcza ją naleśnikami.
Czy nie widać od razu, że trzy pokolenia i
czwórka Beaumanoirów to dobrzy, ba, najlepsi
sąsiedzi, jakich można sobie wyobrazić? Cyganki
błogosławią ich od świtu do nocy.

Tak jak ich rodzice, dzieci w szkole
dzielą się na dwie grupy: na te ze wsi
i te znad morza,
na chłopów i marynarzy,
na gulgoczących słowami
i na tych, co czują się przy nich
jak cywilizowani ludzie.
Kto mieszka u ujścia rzeki,
to nawet jeśli sam nie pływa na statkach,
zwrócony jest ku morzu, ku otwartej przestrzeni.
Przyływ niesie w górę rzeki małe frachtowce,
które trzeba, zanim woda
znów się cofnie, szybko rozładować.

Często zeskakują na ląd marynarze, nikt
ich nie rozumie, a mimo to się z nimi

rozmawia. *La maîtresse*,
nauczycielka w szkole ludowej, jest wdową po oficerze
marynarki handlowej, którego statek wraz
z załogą u północno-zachodnich wybrzeży Islandii
kiedyś połknięty został przez Atlantyck.
Ona sama staje niepołknięta
codziennie rano przed klasą, w której dwie małe dziewczynki
o imieniu Germaine uczą się mniej więcej tak samo słabo,
ale *maîtresse* tylko jedną z nich
za karę szarpie za warkocz. I która z nich
może być córką burmistrza?
To, że Annette już wcześniej
staje się wrażliwa na niesprawiedliwość, zawdzięcza
między innymi istotnemu wpływowi
tej pierwszej nauczycielki.

Zostaje *interne* w *collège* w Dinan, publicznej
szkole średniej dla uczniów
od jedenastego roku życia. *Interne* oznacza, że
mieszka i żywi się w szkole, i tylko
co dwa tygodnie przyjeżdża do
rodziców i Mémère. W autobusie mierzy wzrokiem
chłopca o imieniu Jean-Baptiste, nie,
nie wie, jak on naprawdę ma na imię,
ale tak go ochrzciła ze względu na szczupłą sylwetkę i
ciemne kędzierzawe włosy, zupełnie jak u Jana Chrzciciela.
Wcześniej się zaczyna! Tylko że chłopiec niczego nie zauważa.

W wieku trzynastu lat, w 1936 roku, spędza
ostatnie lato w domu rodzinnym nad
morzem. *Mais qu'est-ce que c'est que
tout ce monde?* Wielkie nieba! Czego tu chcą,
ci wszyscy ludzie? Socjaliści i
komuniści wprowadzili płatny
urlop, tylko czternaście dni,
ale zawsze coś, niech żyje Front Ludowy,
Front Populaire! Ludzie masami wysiadają
z ciuchci, autobusów, ze wszystkiego, co
ma koła i kółka, wymachują sieciami rybackimi i
łopatkami, noszą urlopowe ubrania, które
są szczególnym rodzajem odświętnej odzieży,
przyczerniałej teraz od dymu parowozów.
A są wszędzie, śpiewają, grają w piłkę.
Gdzie kiedyś była morska fala, teraz jest
jedna wielka fala ludzi. Na przyjezdnych mówi się,
niezależnie od tego, skąd pochodzą, paryżanie –
uwaga! To nie to, o czym myślicie –
nie w niemieckim znaczeniu *Pariser*, czyli prezerwatywy,
ale *parisiens*, inaczej mówiąc mieszkańcy stolicy.
Lato 1936 roku. Co się wtedy dzieje w Niemczech,
doskonale wiemy. We Włoszech rządzi Mussolini.
W Hiszpanii wybucha wojna domowa.
Dla trzynastolatki z małej

bretońskiej miejscowości wszystko to jest na pozór
takie odległe, jak dziś dla nas Syria czy
Czad, ale pozory mylą,
jak to mają w zwyczaju, bo wnet
pojawiają się pierwsi Hiszpanie, a ściśle
mówiąc Hiszpanki, których mężowie nie żyją,
są ranni lub w niewoli, a one ze swoimi
dziećmi szukają schronienia w Bretanii.
Annette nie jest *interne*, odkąd jej rodzice
przestali wieść życie u ujścia rzeki
i osiedlili się w Dinan, gdzie pomagają
hiszpańskim uchodźczyniom i prowadzą
poza tym kawiarnio-restaurację,
co w samej rzeczy nie różni się istotnie
od komitetu powitalnego,
w którym biorą udział honorowo
czy raczej z uprzejmości. Annette
jest pacyfistką, póki w wieku piętnastu lat
nie postanowi zostać terrorystką. A oczarował ją Czen,
jedna z głównych postaci powieści André Malraux
La condition humaine, *Dola człowiecza*,
zamachowiec, który podczas powstania
robotników i komunistów w 1927 roku w Szanghaju
zaczął od mordów, a skończył na samobójczym ataku. Tak
żyje człowiek – umierając. Umierając
dla innych? Czy też chcąc umrzeć, nic, tylko bardzo
chcąc umrzeć? To, że chce umrzeć, ratuje Czena przed
tym, by musiał umrzeć, a tym samym przed *condition humaine*.
Malraux otrzymuje Prix Goncourt, i jeśli
wierzyć krytyce oraz wewnętrznemu rymowi,
jest to dość ciemna figura. Ale *peu importe*, nie o
reputację pisarza tu teraz chodzi, lecz o *exaltation*,
o poryw młodzieńczego uniesienia i o poczucie, że
sprawie celowi ideałom swoje życie
poświęcić trzeba. W 1938 roku przybywa pierwszy
niemiecki uchodźca, znaczy się uchodźczyni o
imieniu Else. „Mimo że była Niemką, a więc na pierwszy
rzut oka wrogiem, była bardzo ładna”. (Słowa Annette)
Else pochodzi z Berlina, nie mówi zbyt wiele, zresztą
francuski zna słabo, ale jednak na tyle, by zrozumieć coś niecoś,
na przykład, że ludzie jej tu nie ufają. Opowiada więc o swoim
wujku, którego we własnym sklepie
zlinczowało kilku drabów, stałych klientów.
To jasne, że mówi prawdę.

Potem wybucha wojna, która we Francji wojną tak
naprawdę nie jest, raczej przesiadywaniem czy siedzeniem cicho,
la drôle de guerre, śmieszna wojna, mówią na nią Francuzi,
choć nie ma w niej nic zabawnego. Nie, żeby
mieli poczucie humoru większe niż ich sąsiedzi, ale
orłami, jeśli idzie o języki obce, to akurat nie są, skoro
angielskie określenie *phony war*, czyli udawana wojna,
zrozumieli jako *funny war*.

Potem kraj nawiedza nieśmieszna wojna. Ofensywa zaczyna się 10 maja 1940 roku, a kończy 22 czerwca. Te sześć tygodni – to że jest to sześć tygodni, a nie przynajmniej miesięcy, i że oddziały niemieckiego wojska natrafiają na masło, a nie na beton – Francuzi osiemdziesiąt lat później wciąż jeszcze czują w kościach. W lipcu Niemcy maszerują *pas de l'oise*, czyli gęsim krokiem, pruskim krokiem defiladowym, przez ulice w Dinan. Annette ma siedemnaście lat i wydarzeniu woli przyjrzeć się z bliska. Teraz, w tych tygodniach, coś ważnego rozstrzyga się dla niej – o ile nie rozstrzygnęło się już wcześniej, u ujścia rzeki Arguenon.

Gdy morze napiera w głąb lądu, rzeka stawia mu opór. Wiosną i jesienią przypyły i odpływy wdzierają się dalej niż kiedykolwiek, nazywa się to *les grandes marées* albo żywe wody, *les vives-eaux*. Zdarza się, że tam, gdzie masy słonych i słodkich wód zderzają się ze sobą z całą siłą, zniecka wypiętrza się ściana wody, wędrująca tama wodna, zwana *mascaret*.

A zaczyna się niepozornie. Ma siedemnaście lat, jest pora wakacji letnich, ktoś ją zagaduje, jakiś mężczyzna. Taki mógłby być początek miłości, ale nie, nie jest. Mężczyzna ten ma na imię S., jest jeńcem wojennym. Razem z dwoma innymi współjeńcami, którzy jak on dla komendantury świadczą usługi tłumaczeniowe, prowadzony jest przez miasto. Straż pilnuje ich niezbyt czujnie. S. niepostrzeżenie zamienia dwa słowa z Annette, która akurat wtedy przechodzi. Pod murem dawnych koszar – a teraz obozu jenieckiego – trzeba odebrać kilka paczek i zanieść je na adres podany na najmniejszym z pakunków (na tych większych napisane są zmyślane adresy). Czy mogłaby to zrobić? No i co myślicie? Właśnie tak robi. Pod wskazanym adresem mieszka ładna, dzielna krawcowa, która potrafi wyczarować coś z niczego, z tych paczek więc tym bardziej. Blond włosy ma splecione w diadem, mówi się o niej, że w Paryżu wiodła *vie de folie*, życie szalone czy raczej grzeszne, o czym świadczy syn, który trafił w Niemczech do niewoli. Annette widuje S. jeszcze dwa, trzy razy, zanim uda mu się uciec, a mianowicie do Londynu, jak się dowie po latach. Spośród książek, które ma w walizce, S. zostawia jej między innymi *Nadzieję*, *L'Espoir*, kolejną powieść Malraux o hiszpańskiej wojnie domowej, którą poznał z bliska. A potem znika z oczu. Annette

spotyka nowych ludzi, dzięki którym nawiązuje kontakt z członkami Ruchu Oporu, na przykład z *instit*, czyli nauczycielem w szkole ludowej, tego lata i następnego w różne miejsca przewozi dla niego rowerem najrozmaitsze rzeczy. A zatem, jak wszystko w życiu, stawianie /oporu polega na czymś innym, niż to sobie wyobrażamy, nie wynika z raz jasno podjętej decyzji, ale jest niezauważalnym, powolnym wpadaniem w coś, o czym nie mamy pojęcia. Pierwsze, czemu należy stawiać opór, to my sami. Własny strach. Co będzie, jeśli ktoś ją wyśledzi i złapie na przewożeniu bibuły lub innych zakazanych materiałów? Uczy się, że strach jest czymś, co można pokonać.

Fragment opowieści pochodzi z książki *Annette, ein Heldinnenepos* autorstwa Anne Weber, poświęconej życiu Anne Beaumanoir (1923–2022), członkini komunistycznego Ruchu Oporu, Sprawiedliwej wśród Narodów Świata, lekarki. Podczas wojny algierskiej o niepodległość, zaangażowała się w ruch Frontu Wyzwolenia Narodowego, za co stanęła przed francuskim trybunałem wojskowym. Uciekła z więzienia najpierw do Tunezji, a potem do Algerii, gdzie poznała Frantza Fanona, a Ahmad Ben Bella jako pierwszy prezydent niepodległej Algerii powierzył jej utworzenie systemu opieki zdrowotnej. Po zamachu stanu w 1965 r. uciekła ponownie, tym razem do Szwajcarii. Do rodzinnej Bretanii wróciła pod koniec życia. © 2020 MSB Matthes & Seitz Berlin Verlagsgesellschaft mbH.



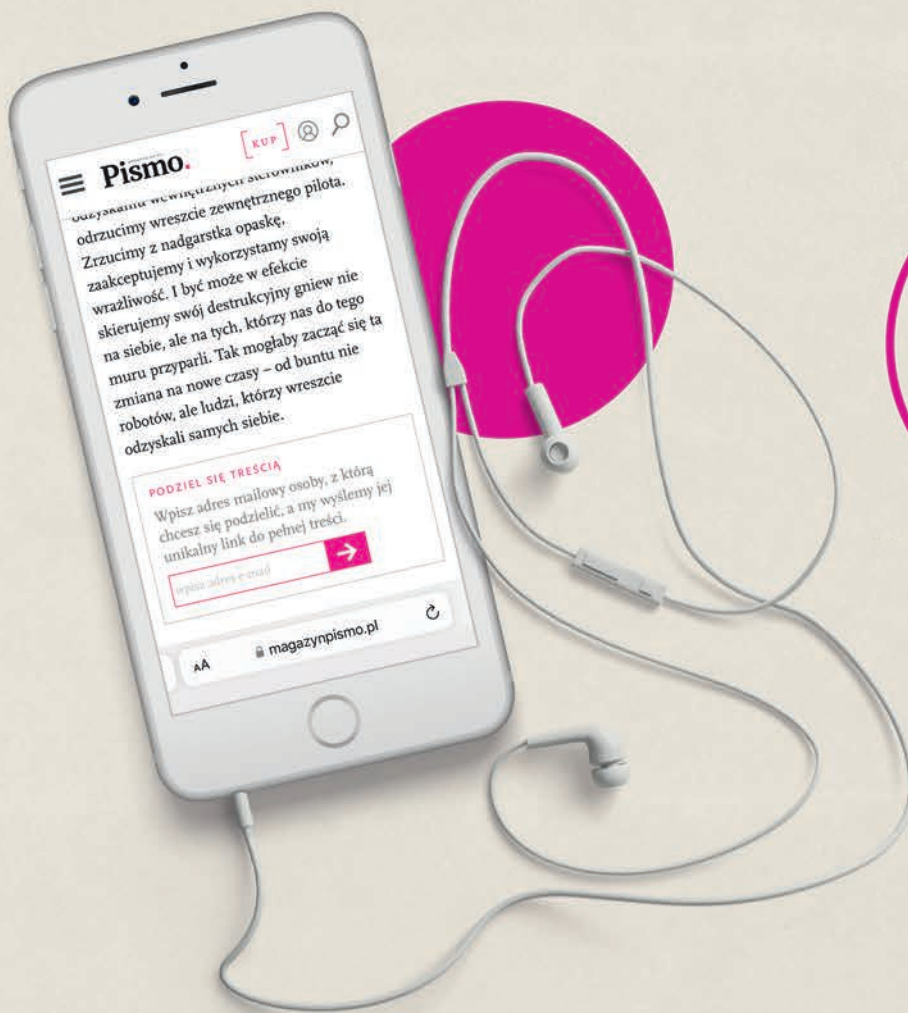
FUNDACJA WSPÓŁPRACY
POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG
FÜR DEUTSCH-POLNISCHE
ZUSAMMENARBEIT

Wydano z finansowym wsparciem
**Fundacji Współpracy
Polsko-Niemieckiej.**

Czytaj, słuchaj i dziel się treściami z „Pisma”.

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Dzięki nowej funkcji w serwisie magazynpismo.pl możesz w całości udostępniać nasze treści osobom, które nie mają prenumeraty lub dostępu online do „Pisma”.



To dla nas, Fundacji Pismo, bardzo ważne, by treści, które publikujemy, docierały do jak największej liczby osób – by skłaniały do refleksji, były pretekstem i inspiracją do rozmowy.



magazynpismo.pl/**podzielsie**

„Pismo” to wyjątkowy projekt medialny realizowany *pro publico bono* przez Fundację Pismo. Naszą misją jest kształtowanie obecnych oraz przyszłych liderów i liderek życia społecznego, politycznego i kulturalnego przez uwrażliwianie na rzeczywistość i inspirowanie do myślenia o procesach kształtujących przyszłość. Utrzymujemy się dzięki darowiznom oraz prenumeratom. Prenumerując lub subskrybując, wspierasz uczciwe, wiarygodne, niepartyjne, wysokiej jakości dziennikarstwo działające dla dobra publicznego.

Kup książkę

Dwa stopnie do piekła

tekst JULIA LACHOWICZ-NOWIŃSKA

—

w 2020 roku z Kalifornii wyprowadziło się 275 tysięcy ludzi, rok później – 360 tysięcy. Ten amerykański stan powoli przestaje być miejscem do życia.

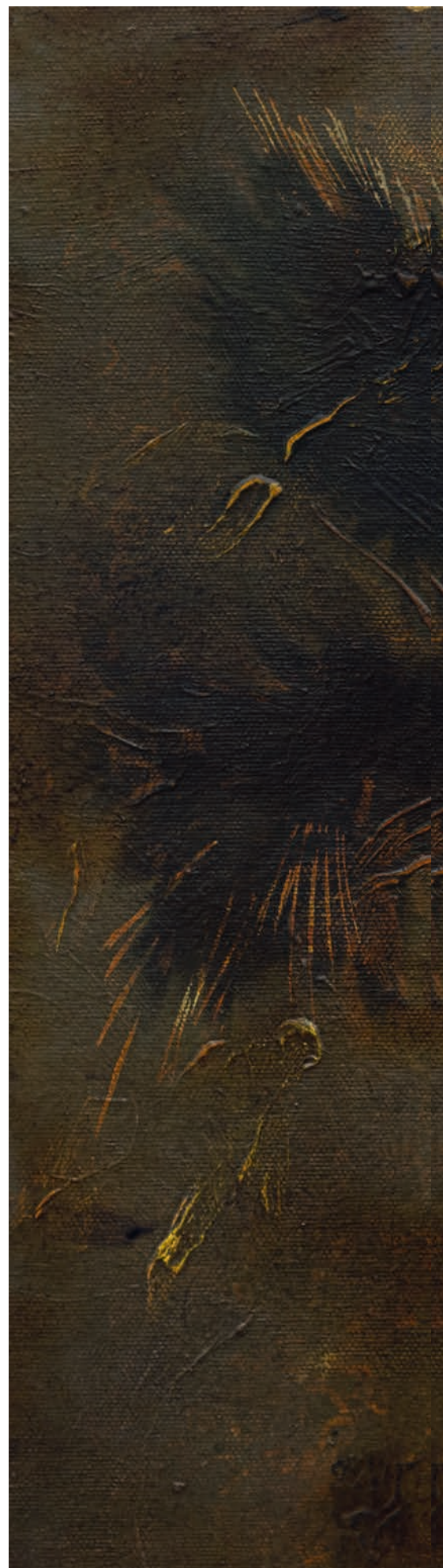
Prawdziwy raj znajdował się trzy godziny drogi na północny wschód od San Francisco. Miasteczko Paradise w tłumaczeniu na język polski to właśnie „raj”. Zbudowane wzdłuż rzeki Feather u stóp gór Sierra Nevada, z kanionami po obu stronach. Spokojne, piękne miejsce do życia wśród natury. To nie Kalifornia z hollywoodzkich filmów, tylko północna część stanu. Zielona, bujna, zimniejsza. Nie było w nim palm ani willi z egzotycznymi ogrodami. Był za to gęsty las. Pachniało w nim sosnami żółtymi, przez Amerykanów nazywanymi *ponderosa*. Niektórzy mówią, że pachną wanilią, mnie ich zapach bardziej przypomina cynamon lub świeżo pieczone ciastka. Do tego dzikie góry, poprzecinane tysiącami pieszych szlaków, na których można było spotkać niedźwiedzie. Zamiast szerokich autostrad do Paradise prowadziła kręta, wąska droga.

Susan Herring z mężem Walym przemieściła się tu na początku lat 70. Uciekła z Long Beach, w okolicach Los Angeles, przed smogiem, który sprawiał, że ich

dzieci miały problemy z oddychaniem. Szukali czystego powietrza, natury i wytchnienia. Szukali miejsca na całe życie, w którym wychowają dzieci. I w którym umrą. Znaleźli je w Paradise. – Drzewa, jezioro, widok na kanion, strumienie i wspaniali sąsiedzi, którzy pomagali sobie w codziennym życiu – to wszystko składało się na nasz mały wycinek raju – opowiada Susan. – Nie było tu gwiazd filmowych, za to sąsiedzi przynosili ciasto na przywitanie. Połączenie wspaniałego klimatu, bez upałów, za to z dużą ilością słońca i przyjaznych ludzi, którzy z czasem stali się naszą drugą rodziną. To było to, czego szukaliśmy. Od razu wiedzieliśmy, że tu zostaniemy do końca naszych dni.

Czwartek, 8 listopada 2018 roku, zaczął się w Paradise normalnie. W ulubionej restauracji Susan, Debbie's, pachniało świeżo zaparzoną kawą i najlepszymi w mieście naleśnikami z jagodami. Tylko wiatr tego dnia wiał trochę mocniej niż zwykle.

Pożar zaczął się około 6:30 rano, ale wydawał się być daleko od Paradise. – Zdarzały





[Kup książkę](#)

obraz SASZA BASZYŃSKI, *Bronze*, 2023

się takie sytuacje, że gdzieś niedaleko coś się paliło. Czasem nawet niecałe 20 kilometrów od miasta. Dwa razy musieliśmy się ewakuować, ale nigdy nie czuliśmy zagrożenia, że coś faktycznie może się stać – tłumaczy Wally. – Straż pożarna zawsze to gasiła szybko i skutecznie. Tego dnia nikt się nie obawiał, że coś się wymknie spod kontroli. Poranek spędziliśmy jak zawsze. W domu, w kuchni. Spokojnie podziwiając widoki za oknem – opowiada Wally.

Tak było do 8:00 rano, kiedy ogień doszedł do Paradise. A wraz z nim pojawiły się strach, niedowierzanie i panika. Wszystko działo się błyskawicznie. – Mieliliśmy dosłownie kilka chwil na ewakuację. Nie wiem, ile dokładnie, ale czuliśmy, jakby to się działo w niecałe pięć minut. – mówi Susan. A Wally dodaje: – Uciekając, zostawiliśmy za sobą całe nasze życie, cały dorobek, wszystko, na co przez tyle lat pracowaliśmy. Dwanaście godzin później dowiedzieliśmy się, że z naszego domu została kupka popiołu. Nie zostało nic. Całe nasze życie obróciło się w proch. Dosłownie.

Ci, którzy szybko zebrałi się do ucieczki, zdążyli wyjechać, zanim ogień doszedł do jedynej drogi, jaka prowadziła do Paradise. Gdy pożar zaczął zajmować kolejne domy, odciał możliwość ewakuacji. Nie dało się przejechać. Część ludzi musiała opuścić samochody i zebrała się na betonowym parkingu. Strażacy wybili okna w budynku, który stał obok, i kazali im wejść do środka. Mielili położyć się na ziemi i czekać. „Leżeliśmy tak przez wiele godzin. Ogień szalał wokół nas. I po kilku godzinach powiedzieli nam, że możemy wstać” – wspomina Dacia Williams w filmie dokumentalnym *Fire in Paradise* (*Ogień w Paradise*). Świadkowie opowiadają, że z nieba spadały kule gorącego żaru, zrobiło się ciemno, a dym utrudniał oddychanie. W pożarze osiemdziesiąt pięć osób spłonęło żywcem. W tym sąsiadka Susan i kilku przyjaciół. Raj przemienił się w piekło.

Obecnie około jedna czwarta z 40 milionów mieszkańców Kalifornii żyje w miejscu, w którym zagrożenie pożarowe jest klasyfikowane jako wysokie. W ostatnich pięciu latach pożary zniszczyły tu ponad 25 tysięcy domów i budynków. Część z nich spłonęła doszczętnie, przez co ludzie musieli się przenieść z miejsc, w których mieszkali

przez lata. Niektórzy zdecydowali się kupić dom czy ziemię w innym stanie. – Co tydzień mam telefon od par z Kalifornii, które szukają domów w Oregonie. U nas jest taniej. Życie jest tu spokojniejsze. Jest zimniej. I mniej ekstremalnie, choć pożary też się zdarzają – mówi Rachel Buciariski, agentka nieruchomości z Eugene w Oregonie.

W 2020 roku z Kalifornii wyprowadziło się 275 tysięcy ludzi, rok później – 360 tysięcy. To więcej niż tych, którzy się tu osiedlili. Dane ze spisu powszechnego z 2022 roku wskazują na to, że na każde trzydzieści siedem osób, które decydują się zamieszkać w tym stanie, sto go opuszcza. Najczęściej wybierają Teksas, Arizone, Nevadę lub właśnie Oregon.

Obecnie około jedna czwarta z 40 milionów mieszkańców Kalifornii żyje w miejscu, w którym zagrożenie pożarowe jest klasyfikowane jako wysokie. W ostatnich pięciu latach pożary zniszczyły tu ponad 25 tysięcy domów i budynków.

Nauczycielka Katherine Ratledge, która jeszcze nie tak dawno temu przekonywała mnie, że takie megapozary to wyjątek, dodaje: – Przez kilka lat ocenialiśmy za i przeciw mieszkaniu w Kalifornii. Ostatecznie klimat przechylił szalę. Szaleństwem wydawało nam się kupowanie wartego miliony dolarów domu w miejscu, które niedługo może zniknąć z mapy lub spalić się w jedną dobę. Kalifornia jest piękna, ale gdy zaczynamy myśleć o domu, w którym może będą żyć też nasze dzieci czy wnuki, mieszkanie tu wydaje się wariactwem.

Požary to tylko jedno z niebezpieczeństw czyhających na właścicieli domów w Kalifornii. Abraham Lustgarten, dziennikarz zajmujący się środowiskiem, podkreśla w swoim raporcie *How Climate Migration Will Reshape America* (*Jak migracje klimatyczne przeobrażą Amerykę*), opublikowanym przez „The New York Times Magazine” i portal ProPublica, że jeżeli sprawdzą się przewidywania co do podniesienia poziomu morza do 2,5–3 metrów, niemal 5 kilometrów

wybrzeża nad zatoką San Francisco zostanie zalanych wodą, która pochłonie domy, sklepy, szkoły. Autostrady zostaną podniesione, a niektóre mosty zbudowane od nowa. Najpierw tereny te będą opuszczać najbiedniejsi, którzy mieszkają na najniższych położonych miejscach. Ale według badania Matthew Hauera, profesora socjologii z Uniwersytetu Stanowego Florydy, migracja obejmie wszystkie grupy społeczne.

10 LISTOPADA 2018 ROKU

Po mieszkaniu w Warszawie cieszyliśmy się wzięciem czystego powietrza w północnej Kalifornii. Niestety. Dziś kolejny dzień alarmu smogowego w Dolinie Krzemowej. Gazety porównują San Francisco do Delhi w Indiach, jednego z najbardziej zanieczyszczonych miast świata. Smog najpierw czuję w całym ciele. Mózg wolniej działa. Głowa boli. Wszystko dzieje się jak za mgłą. Otwieram okna, palony zapach przywołuje mi wspomnienia zimy. Tak pachniała zima u mojej babci pod Siedlcami. Wspomnienia mówią: „idą święta”, a to dopiero listopad!

13 LISTOPADA 2018 ROKU

„San Francisco Chronicle”, najważniejsza gazeta regionu, pisze dziś o „bezprecedensowych zniszczeniach”. Po raz pierwszy pożary są tak rozległe. Wyjątek. Przypadek. Nigdy wcześniej nie było tak źle. W powietrzu wyczuwa się lekką panikę, ale też przekonanie, że to wyjątkowe zdarzenie, zaraz minie i się zapomni o wszystkim.

14 LISTOPADA 2018 ROKU

Oczyszczaczy powietrza nie można już dostać nawet w internecie. Wykupione. Dostawa za kilka miesięcy. Cholera, w Polsce mieliśmy cztery. Po jednym w każdym pomieszczeniu, wiadomo. Trzeba było brać za ocean. Poranek zaczął mieć pewną rutynę: otwieram oczy, sprawdzam poziom zanieczyszczenia powietrza na dwóch aplikacjach i porównuję. Potem otwieram mapę z pożarami i patrzę, które są ugaszane, a które się panoszą. Odkładam telefon i idę po kawę. I tak codziennie. Rytuały są przecież ważne, nawet jeżeli koniec świata jest blisko.

15 LISTOPADA 2018 ROKU

Szkoła dzieci właśnie przysłała mail, że po raz pierwszy w historii stanu szkoły będą

zamknięte z powodu złego powietrza przez kolejne dwa dni albo dłużej, jeżeli nadal będzie tak źle. Tak jakby w domu było lepsze... Przecież nikt nie może kupić oczyszczaczy. Mam także inne czarne myśli, które przychodzą mi do głowy, gdy dowiaduję się, że w domu będę miała dwoje przedszkolaków na głowie. Smog stanie się mniejszym zmartwieniem.

16 LISTOPADA 2018 ROKU

W piątek współczynnik AQI, który opisuje jakość powietrza, wynosił 357 – czyli bardzo, bardzo źle. Tego dnia San Francisco znalazło się na pierwszym miejscu najbardziej zanieczyszczonych miast. Na drugim miejscu była Dacca w Bangladeszu z wynikiem 284.

—
TO NIE JEST KALIFORNIA, z którą wzięłam ślub („The New York Times Magazine”, 3 stycznia 2022 roku), Niszczycielska megapowódź zbliża się do Kalifornii i to może być najdroższy kataklizm w historii (CNN, 14 sierpnia 2022 roku), Niszczycielskie deszcze w Kalifornii mogą być oknem na przyszłość („New Yorker”, 12 stycznia 2023 roku). To tylko niektóre z nagłówków, które od kilku lat cyklicznie pojawiają się w największych mediach Stanów Zjednoczonych. Bardzo często przy słowach „Kalifornia” i „klimat” można znaleźć określenia „nowa normalność”, „nigdy wcześniej”, „niespodziewane”, „najgorsze w historii”, „apokalipsa”. Zajmują coraz ważniejsze miejsce na pierwszych stronach gazet i to nie w kategorii „nauka”, ale „news”. Nic dziwnego, że tradycyjny *small talk* z sąsiadami o pogodzie coraz częściej zamienia się w rozmowę o tym, gdzie się pali, jakie jest powietrze, kto się wyprowadza albo kto stracił dom.

Nawet osoby sceptyczne w kwestii zmian klimatu nie mogą już udawać, że wszystko jest okej. Po prostu nie da się tu żyć, nie zauważając, że ekstremalne wydarzenia pogodowe nie należą już do kategorii „jeśli” i „kiedy”, ale „tu i teraz”. – Przez wiele lat słyszeliśmy o tym, że pożary są coraz większe, ale nigdy przez myśl nam nie przeszło, że dotkną i nas. To była jakaś teoria z przyszłości. Teraz nie mamy już złudzeń, że bez radykalnych zmian świat, jaki znamy, odejdzie bezpowrotnie – mówi Susan.

Patryk Białas, aktywista, radny Katowic i dyrektor Centrum Innowacji i Kom-

petencji w Parku Naukowo-Technologicznym Euro-Centrum w tym mieście, zapewnia, że samo pojawienie się tej świadomości to już dużo. Sugeruje również, że to oznacza, iż sytuacja musi być bardzo poważna. – Ludzie dość długo mogą nie zauważać, że coś jest nie tak. Nawet gdy jest już bardzo źle. Na Śląsku przez lata standardem było, że firanki trzeba było prać co miesiąc, bo robiły się czarne. Albo że śnieg był biały tylko przez pierwsze dwa dni. Dopiero dzięki mówieniu o tym, czym jest smog i jak szkodliwy jest dla zdrowia, świadomość mieszkańców zaczęła się zmieniać. Powoli, ale jednak.

Camp Fire z 2018 roku to najbardziej niszczycielski pożar w historii Kalifornii. Pochłonął 18 793 budynki, w tym 13 972 domy mieszkalne. Rozpanoszył się na terenie 60 tysięcy hektarów. To tyle co Kraków i Łódź razem wzięte. Zaczął się, jak większość pożarów, niewinnie. Brak opadów przez ponad siedem miesięcy i panująca susza sprawiły, że wystarczyły iskry ze starej, uszkodzonej sieci elektrycznej, by powstał ogień. A mocne wiatry przyczyniły się do tego, że bardzo szybko się rozprzestrzenił. – Paliły się korony drzew i przenosiły ogień z niesamowitą prędkością. Jedyna droga dojazdowa do Paradise uniemożliwiła sprawną ewakuację. Tego dnia wszystko poszło nie tak – wspomina Susan. Tymczasem minęły dwa lata i rok 2020 stał się rekordowy, jeżeli chodzi o powierzchnię pożarów w tym stanie: ponad 1,7 miliona hektarów.

Lista największych, najbardziej niszczycielskich, najgorszych wydłuża się co roku. Coraz rzadziej mówi się o wyjątku, coraz częściej zaś o pewnym trendzie. Daniel Swain, klimatolog z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, w rozmowie dla „The Atlantic” z 2020 roku podsumował tak: „Nie ma sensu mówić o rekordach, rozmawiając o pożarach w Kalifornii. Pobiliśmy tyle rekordów, tak często, co one w ogóle jeszcze znaczą?”. Badanie Parka Williamsa z Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku wskazuje, że ocieplenie klimatu prawdopodobnie bezpośrednio wpływa na większe pożary w lecie w Kalifornii. Chociaż pożary w tym stanie zawsze się zdarzały, to w ostatnich latach sezon na nie jest dłuższy, bardziej intensywny i niszczycielski.

Kup książkę

Ręcznie robione opowieści.

Wystawa artystycznego rzemiosła norweskiego



10.8 – 15.10
2023

Muzeum Mazowieckie w Płocku
ul. Kolegialna 6

Iceland
Liechtenstein
Norway grants

Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej

MKIDN